Literackie zaułki pamięci

Z prof. Florianem Śmieją o wspomnieniach na temat przedstawicieli literatury emigracyjnej zebranych w książce „Zbliżenia i kontakty” – rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Florian Śmieja wraz z żoną Zofią z Poniatowskich, fot. arch. rodzinne.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Często wracam do Pana książki, przepięknie wydanej przez Bibliotekę Śląską w Katowicach, „Zbliżenia i kontakty”. Ten zbiór szkiców napisany lekkim, barwnym językiem, przywołuje bardziej lub mniej znaczące postaci polskiej literatury emigracyjnej. Gdy zagłębiam się w ten literacki zbiór wspomnień, mam wrażenie, że uczestniczę w spacerze w przeszłość, odtwarzającym to, co spotkani ludzie zostawili po sobie w Pana pamięci. O istnieniu wielu osób dowiedziałam się dopiero z kart Pana książki. Czy Pana zamierzeniem było, aby powstał taki właśnie zbiór literackich pamiątek z powojennego Londynu?

FŚ: Nicią wiążącą tego zbioru w istocie są osoby, które spotkałem w Londynie. Ludziom, z którymi byłem dłużej, do których się zbliżyłem, poświęciłem więcej miejsca. Kontakty z innymi jedynie zasygnalizowałem. Chciałem utrwalić wszystko to, z czym osobiście się spotykałem. Próbowałem też zachować pamięć pewnych ludzi, którzy może nie byli na „świeczniku", ale byli interesujący. Stąd w książce pojawiają się nazwiska, które nie pochodzą z kanonu literatury emigracyjnej i nie tylko z Londynu. Myślę tu np. o Danucie Irenie Bieńkowskiej, której poświęciłem mały urywek. Mieszkała w Toronto, była nieszczęśliwą osobą, miała duży talent, którego nie potrafiła spożytkować, zginęła tragicznie i nagle wszystko się urwało. Ponieważ nie dbała o swoje „wzięcie" wśród Polonii, to zaczęto ją opuszczać. W dużej książce wydanej w 1989 przez Związek Nauczycielstwa Polskiego w Kanadzie, *Polska, wczoraj i dziś*, nie ma jej nazwiska, jakby tutaj nigdy jej nie było. A ona odegrała ważną rolę na polonistyce i jako postać była ciekawa. Moim celem była na pewno próba ratowania kogoś takiego. Są ludzie, którzy potrafią dbać o siebie, ale są tacy, którzy nie mają tego daru i przechodzą niepostrzeżenie.

JSG: W jednej z wypowiedzi na temat książki zauważył Pan, że *utrwalanie pamięci opisanej w osobistych relacjach jest jednym ze sposobów odzyskiwania przeszłości*. Czy czuł Pan potrzebę opowiedzenia o autorach, z którymi się Pan zetknął i o atmosferze tamtych londyńskich lat, gdyż nikt

inny tego tak nie zrobi?

FŚ: Zacząłem sobie zdawać sprawę z tego, że pamięć nasza jest bardzo krucha. Po jakimś czasie w głowie powstają zbitki faktów i wyobrażeń, których człowiek nie potrafi rozróżnić. Dobrze jest zapisywać różne szczegóły, anegdoty, zachować daty. Bo tak na prawdę życie dużo szybciej biegnie, niż sobie wyobrażamy i szalenie trudno jest potem coś odtworzyć. Nie powinno się dopuścić do sytuacji, że jest dzieło, a nie widać twórców, jakby się nie liczyli, jakby ich twórczość była samorodna. Ja byłem w grupie poetów w Londynie. Ci, którzy żyją i potrafią coś jeszcze powiedzieć, mają tam odpowiednie świadectwo czy zapis, ale ci, którzy odeszli, jak np. Zygmunt Ławrynowicz, to jakby przestali istnieć. Nikt nie wydaje ich wierszy, nikt o nich nie mówi. W mojej książce wspominam wiersze Ławrynowicza, wyciągnąłem ponadto z listów różne jego wypowiedzi. Jest to smutna opowieść, ale coś o nim mówi. Ktoś inny może się na tym oprze i coś więcej dopisze w przyszłości. Sądzę, że są to obowiązki, które ciążą na żyjących. Takie wspomnienia na pewno właściwie wzbogacą panoramę emigracyjną.

JSG: Czyli jest to książka nie tylko oddająca sprawiedliwość tym, o których zapomniano, ale również służąca przyszłym pokoleniom, jako przyczynek do dalszych badań nad kulturą i literaturą emigracyjną.

FS: Ludzie, którzy tyle słyszeli o Londynie i powojennej emigracji, cóż zastaną, gdy tam pojadą? Dawne domy, cmentarze i dzieła. Ale w tych dziełach przecież nie wszystko się zachowało. Jest jeszcze aura, otoczka wokół ludzi, która była znana tylko współczesnym. Innym łatwiej będzie się domyślić, jeżeli będą mieli przesłanki, chociażby w postaci okruchów pamięci, jakie zebrałem w tej książce.

JSG: Przy takim budowaniu po czasie historii z okruchów pamięci istnieje ryzyko, że obraz ludzi, pojawiający się w szkicach jest pokazany wyłącznie poprzez Pana spojrzenie.

FS: Czekam na dalsze echa ludzi, którzy byli współobecni, którzy te same rzeczy widzieli, może nieco inaczej. Wtedy będzie kilka spojrzeń, co jest dobre, bo wówczas łatwiej o obiektywizm, o historyczną syntezę. Nie łudźmy się, jesteśmy ukształtowani w pewien sposób i to, co oglądamy, czy to, co czujemy, oddajemy przez pryzmat naszej formacji. I nawet niechcący mówimy inaczej, niż powie ktoś inny. Poprzez wiele zdań kształtuje się właściwy obraz. Unikniemy cynizmu, że wszystko jest hagiografią, że o umarłych należy tylko dobrze mówić. A my chcemy widzieć człowieka, który miał krew w żyłach.

JSG: Starał się więc Pan, żeby obraz wspomnianych postaci był jak najbardziej prawdziwy.

FS: Nieraz ma się takie wahania, zastanawiamy się, co to jest tzw. prawda. Czy prawdą należy szkodzić człowiekowi, czy lepiej przemilczeć pewne rzeczy. Jeżeli przemilczeć, to czy zaznaczyć, że się czegoś nie dotyka? Myślę, że tu kultura człowieka ma duże znaczenie. No i wiek. W młodym wieku człowiek wszystkich chce atakować, myśli, że ma do tego prawo, właśnie w imię prawdy. Z wiekiem człowiek pokornieje i rozumie, że trzeba bardziej oględnie pewne sądy ferować.

JSG: Czy postaci z Pana wspomnień, które zajmują w Pana pamięci najwięcej miejsca wyznaczały jakiś kierunek w układaniu całego zbioru szkiców?

FS: Tak, na początku pewne postacie bardziej mnie zafrapowały. Np. Paweł Łysek, którego powieści recenzowałem, z którym się przyjaźniłem i czułem potrzebę, żeby napisać o nim jakiś większy szkic. Potem tych postaci zaczęło przybywać, zacząłem zdawać sobie sprawę z tego, że to jest dobra droga i szukałem w swojej pamięci osoby, o której mogłem coś więcej powiedzieć. Ponieważ pracowałem u dr Jerzego Pietrkiewicza, jako asystent, napisałem o nim. Ale potem stwierdziłem, że szkice na temat krótkich kontaktów, też mogą być ciekawe. Wśród swoich papierów, znalazłem ciekawostkę, dwustronicowe przemówienie o Miłoszu, kiedy nas po raz drugi odwiedził w Londynie i kończył akurat 50 lat. Ja wtedy jako młody człowiek witałem tę bardzo ciekawą postać, która zadaje kłam naszym teoriom, że nie można pisać na

emigracji, bo co roku pisze wielką książkę. Miłosz odpowiedział listem, podziękował i powiedział, że traktowaliśmy go faktycznie jak jakiegoś jubilata. A wtedy przecież jeszcze nikomu się nie śniło o nagrodach i że właśnie ten Miłosz stanie się sztandarowym, wielkim polskim pisarzem.

I tak powstał zbiór – „Zbliżenia i kontakty”.

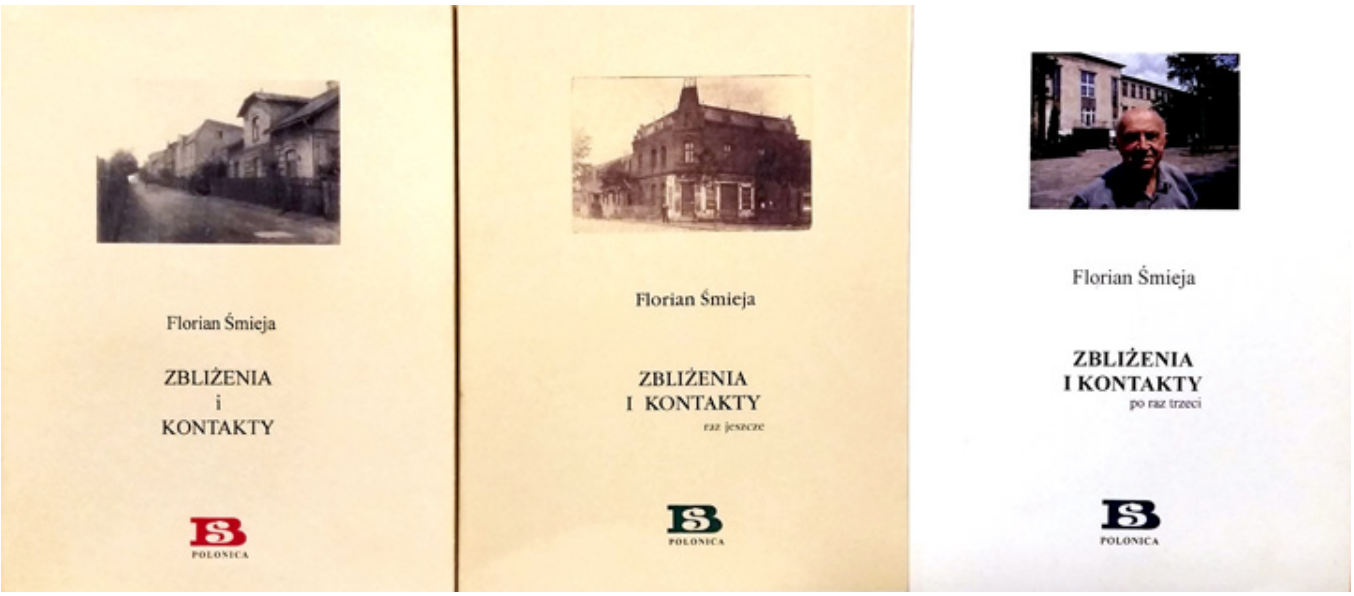

Ukazały się trzy tomy „Zbliżeń i kontaktów”.

JSG: We wstępie do książki pisze Pan o wspaniałej, barwnej atmosferze artystycznej powojennego Londynu. Pan tę polską kulturę emigracyjną współtworzył. Gdzie należałoby szukać przyczyny, tej ogromnej fali twórczości i wybitnych talentów w tym czasie?

FS: Wtedy w Londynie mieliśmy do czynienia z szalonym

dynamizmem idealizmu. Po zakończeniu działań wojennych, wśród byłych żołnierzy było wiele zapału i ta energia zaowocowała w inny sposób. Londyńska emigracja była pokaźna, ok. 100 tys. Polaków i wśród niej było bardzo wielu utalentowanych ludzi, wychowanych przez drugą Rzeczpospolitą, dla których w wielu wypadkach nie było powrotu do kraju. Co któryś młody człowiek w plecaku nosił pióro lub pędzel i jak nie pisał, to malował. Do Anglików trudno było przylgnąć, bo Anglia to kraj z tradycją i nie ma tam takiej możliwości zasymilowania się. Stąd duża potrzeba życia we własnej społeczności. Ludzie chcieli być ze sobą i robili dla siebie różne rzeczy. Wychodziły sukcesywnie czasopisma, nikt nikomu nie płacił, wszystko prawie było honorowe. Profesorowie wykładali za darmo i płacili za przejazd na wykłady z własnej kieszeni. I stąd te wielkie osiągnięcia, mimo braku pieniędzy i możliwości zawodowych. Ludzie pisali pamiętniki, wiersze. Twórczość ich była terapią nie tylko dla piszących, ale i dla innych. Kultura dawała pewne możliwości upustu i stąd tyle najrozmaitszych dowodów aktywności intelektualnej, artystycznej, z której będziemy ciągle czerpać.

JSG: Jednym z takich przejawów aktywności kulturowej z tamtego czasu, jest grupa *Kontynenty*, której jest Pan jednym z założycieli i pierwszym redaktorem pisma. Jak powstała ta grupa?

FS: W 1951 roku zostałem redaktorem *Życia Akademickiego* (miesięcznego dodatku do tygodnika katolickiego *Życie*). Drukowaliśmy wtedy cztery strony, ale po jakimś czasie oddzieliliśmy się. Potem doszliśmy do wniosku, że dawanie komunikatów i pisanie o studentach nas nie zadowala. Wtedy *Życie Akademickie* przerodziło się w pismo *Merkuriusz Polski* i tam pojawiało się więcej ambitnych tekstów, felietonów, esejów, satyr. Po jakimś czasie doszło do scysji z wydawcą, władzami Zrzeszenia Absolwentów i Studentów, gdyż młodzi ludzie zaczęli zabierać głos w sprawach stanowiska politycznego wobec Polski. Mówiono, że młodzi się wyłamują, że chcą nawiązać kontakty z komunistyczną Polską, że nie stoją na straży wartości. Przyszedł taki moment, że materiały, które ukazywały się w *Merkuriuszu* po Październiku, nie spodobały się starszyźnie. Na walne zebranie przyjechał gen. Władysław Anders i podziękowano redakcji. Wtedy założyliśmy własne, od nikogo już nie zależne pismo *Kontynenty*. Od początku współpracowali z nami ludzie na całym świecie, w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, w Australii, w Izraelu. Drukowaliśmy za minimalną cenę, nikt żadnych pieniędzy nie brał, wręcz przeciwnie, składaliśmy się po funcie na miesiąc, żeby zapłacić Bednarczykom za druk.

Teraz *Kontynenty* są szlagierem w Polsce. Na kilku uniwersytetach studiuje się tę grupę. Ukazało się już drukiem kilka doktoratów na ten temat w Toruniu, Katowicach, Lublinie.

JSG: Panie Profesorze. Co mógłby Pan powiedzieć młodym, zbuntowanym, dopiero debiutującym poetom? Jaką radę mógłby Pan dać, tym wszystkim, którzy pragną tworzyć? Jak odróżnić posiadanie talentu od chęci „zostania poetą”?

FS: Jeżeli człowiek nosi w sobie jakieś istotne przesłanie, które chce wypowiedzieć i to w sposób niebanalny, pierwszą satysfakcję będzie miał, jeśli mu się to uda. To już jest osiągnięcie, bez względu na to, czy spotka się z przyjęciem czy nie. Ważne jest, żeby być sobą, żeby nie być epigonem niczyjej myśli, nie iść w ślady innych ludzi, podszywać się pod nich, nie bać się jasności. Odpowiedzialność za naszą twórczość gwarantuje jej autentyzm. Nie należy przejmować się modą. Bycie dekonstrukcjonistą czy postmodernistą jest czymś chwilowym i wtórnym. Sukces powinien być niespodzianką, nawet dla autora. Może on oznaczać wiele rzeczy. Także dojrzałość, względnie znalezienie własnego głosu. Młody człowiek winien najpierw poznać siebie i upewnić się, że na prawdę chce i musi pisać, bo jak się nuży i szybko odpada, to znaczy, że się tylko bawił. Nie ma krótkiej drogi do sukcesu.

rozmawiała Joanna Sokołowska-Gwizdka

„Zbliżenia i kontakty”, T. I, wyd. Biblioteka Śląska 2003, „Zbliżenia i kontakty raz jeszcze”, T. II, wyd. Biblioteka Śląska

2007, „Zbliżenia i kontakty po raz trzeci”, T. III, wyd. Biblioteka Śląska 2015.

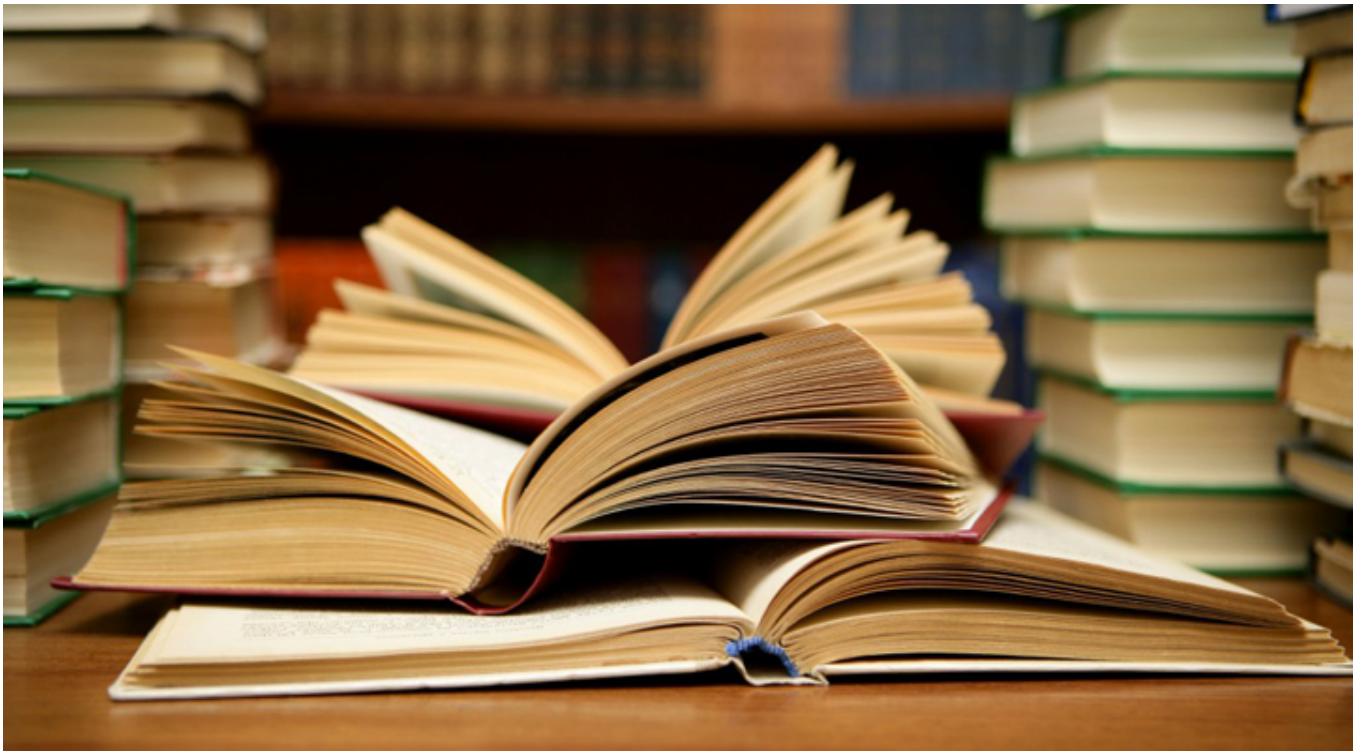

Florian Śmieja urodził się 2 sierpnia 1925 roku w Kończycach, obecnie dzielnicy Zabrza. Do 1939 roku ukończył dwie klasy gimnazjum w Tarnowskich Górach. W roku 1940 wywieziony został na roboty przymusowe do Niemiec, skąd udało mu się zbiec do Belgii, gdzie ukrywał się do wkroczenia, w sierpniu 1944 roku, 1. Polskiej Dywizji Pancernej gen. St. Maczka. Przedostał się wówczas do Anglii, gdzie wstąpił ochotniczo do 1

Korpusu. Po wojnie, po zdaniu egzaminu maturalnego w gimnazjum polskim w Szkocji, w latach 1947-50 studiował anglistykę oraz literaturę i język hiszpański w *National University of Ireland* w Cork, uzyskując dyplom *Bachelor of Arts*. Do 1955 roku był asystentem i lektorem języka polskiego *School of Slavonic and East European Studies* w Londynie; w roku 1955 uzyskał tytuł Master of Arts. Doktoryzował się w 1962 roku w *King's College* w Londynie. Wykładał hispanistykę w uniwersytecie londyńskim i w Nottingham. Gdy w 1969 roku przeniósł się do Kanady, podjął pracę jako gościnny nadzwyczajny profesor w *University of Western Ontario* w mieście London. Profesorem zwyczajnym tego uniwersytetu został w 1970 roku. W tym samym i w 1974 roku wygłosił cykl wykładów na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Posiada także tytuł profesora Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie. Po przejściu na emeryturę w 1991 roku, pracował nadal na kanadyjskim uniwersytecie w London. Wykładał na wydziale iberystyki Uniwersytetu Wrocławskiego, w uniwersytetach w Ostrawie i w Wilnie. Współpracował z Uniwersytetem Opolskim i Akademią Polonijną w Częstochowie. Stale mieszka w Mississaudze w Kanadzie.

Florian Śmieja publikował na łamach wielu pism londyńskich i krajowych, pism akademickich – hiszpańskich, anglojęzycznych i polskich. Wydał kilkanaście tomików wierszy. Jest współredaktorem, obok Wacława Iwaniuka, antologii *Seven*

Polish-Canadian Poets (1984). Przełożył i opublikował w języku polskim liczne utwory autorów hiszpańskich i hiszpańskojęzycznych. Od ponad pięćdziesięciu lat ubiegłego wieku, w czasopismach polonijnych, krajowych i hiszpańskich ukazują się jego artykuły krytyczne, opracowania, wywiady. W maju 2015 r. otrzymał doktorat honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego. Został też odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Izabeli Katolickiej, przyznanym przez króla Hiszpanii Filipa VI. Profesor Florian Śmieja ciągle jest twórczy i aktywny.

Drukarnia pod Arkadą

Florian Śmieja

Oficyna pod mostem

Dla K. i Cz. B.

Feliks Topolski, Krystyna i Czesław Bednarczykowie.

W przedsionku cuchnie farbą, paki przejście

ci tarasują, a przecież to tutaj

tłumniej się garną na duchów biesiady

niż na czwartkowe przyjęcia monarchów.

Jakże niepyszne stoją kuluary

spasionych bonzów od wielkiej żeglugi

bo strużce płynącej ze wzgórza Kaliopy

na próżno szukać by mniej oficjalnej

ścieżki nad tę, lichszych progów, schronienia

bardziej skromnego. Duch od rezydencji

stroniący bujniej za to popod strzechą

swobodny kwitnie. Tak na nagiej ścianie

orzeł kapłonowi też nie zazdrości

ni gęsi sytuowanej na grzędzie.

Wie, że gdy spadnie z błękitu piorunem,

truchleją serca tuczone, umilknie

głos podwórkowy. Bo gdzie się pokażą

orły, padlina zwykle niedaleko.

W Londynie pod przęsłami kolejowego mostu na Tamizie funkcjonowała przez kilkadziesiąt lat Oficyna Poetów i Malarzy, wydawnictwo i drukarnia Krystyny i Czesława Bednarczyków, znana nie tylko polskim emigrantom zamieszkałym w stolicy Zjednoczonego Królestwa i okolicy, ale również wielu Polakom odwiedzającym Anglię.

Krystyna Bednarczykowa, fot. Katedra Edytorstwa i Nauk Pomocniczych UJ.

Podwójna rola poetów i drukarzy wystawiała oboje na wiele niełatwych prób i kolei barwnego życia w wyziewach ołowiu i farby drukarskiej, wśród maszyn i stosów papieru w różnych stadiach obróbki. Były to jeszcze czasy przedkomputerowe, epoka żmudnej pracy zecerów i linotypistów, drukarek rotacyjnych i gilotyn. W takich to warunkach powstawały piękne druki, które z czasem miały stworzyć długą listę w wiele setek tytułów idącego rejestru osiągnięć placówki.

Wydawanie książek Bednarczykowie zaczęli z pomocą pedałówki. Mieli ambicję zrzeszyć ludzi pióra i pędzla równouprawnionych w książce i piśmie. W erze zarysowującej się rewolucji technologicznej, która przeorała drukarstwo, wierzyli w przetrwanie rzemiosła i sztuki wielkiej tradycji reprodukcji książki. *Z Gutenbergem iść będzie dalej piękna książka, wiecznie istnieć będzie artysta książki i ręczna sztuka drukarska,* pisał Bednarczyk. Wierzyli, że pozostanie tęsknota do artystycznej, na ręcznej prasie tłoczonej książki. Nieraz jeszcze z sentymentem wspominam częste odwiedziny w drukarni. Przynosiłem czasem domowe kołacze, albo zakupione w pobliskiej cukierni ciastka,

Bednarczykowie ogłaszali przerwę, parzyli kawę czy herbatę i zasiadaliśmy na czym było można, lustrując przy okazji drukujące się akurat książki i gotowe już egzemplarze. Wtedy też wymienialiśmy nowości, układali plany, snuli marzenia.

Czesław Bednarczyk, fot. Katedra Edytorstwa i Nauk Pomocniczych UJ.

Za małe pieniądze drukowałem w ich oficynie tomik poezji „Powikłane ścieżki”, a także wybór prozy poetyckiej Hiszpana, noblisty, Juana Ramóna Jiméneza, „Srebroń i ja”. Zygmunt Turkiewicz wybrał się do Irlandii, by napatrzeć się i narysować dla książki osiołki. Tekst był bardzo liryczny i piękny, a autor nagrodzonym poetą, dlatego druk był szczególnie wypielęgnowany i czterokolorowy, co wtedy oznaczało czterokrotne przepuszczenie przez maszyny i czyszczenie wałków z farby. Ponieważ tytułowy osiołek nazywał się „Srebroń”, więc nagłówek i łeb protagonisty drukowane były srebrną farbą. Powstała śliczna książeczka, jedna z piękniejszych pośród gustownie wydawanych tomików, które wyszły spod prasy „Oficyny Poetów”.

Z tą pozycją wiąże się moje nierozważne pociągnięcie, kiedy to chcąc poprawić kilka błędów i dostarczyć tekstu już wyczerpanego, nieumiejętnie książeczke powieliłem w Kanadzie. Ponieważ wprowadziłem drobne zmiany w tekście, trzeba było wydanie opatrzyć innym numerem. Dość, że powielone egzemplarze wypadły bardzo niekorzystnie. Kiedy Krystyna Bednarczyk je zobaczyła, nakazała je wycofać i mocno mnie zbeształa. Dopiero wydanie całości tekstu (trzy razy dłuższego) dwujęzyczne we Wrocławiu salwowało sprawę hiszpańskiego arcydzieła.

Krewkości Krystyny Bednarczyk doświadczyłem uprzednio w latach redagowania miesięcznika „Kontynenty", drukowanego przez jakiś czas u nich. Jego kolorowa okładka zmieniała się w zależności od posiadanych przez drukarnię na składzie papierów i kartonów. Raz umówiliśmy się, że będzie czerwona. Przeświadczony o tym pojechałem po pracy do drukarni i , o zgrozo, zamiast spodziewanej okładki czerwonej, zobaczyłem zieloną. Nim się zreflektowałem, nieopatrznie wypowiedziałem słowo zdziwienia „zielona?" To wystarczyło, by Krystyna, która widocznie miała trudny dzień, ucapiwszy mnie za kołnierz, wyprowadziła z drukarni.

Bednarczykowie zapisali piękną kartę wydając przez czternaście lat dużego formatu zeszyty kwartalnika „Oficyna Poetów i Malarzy" w imponującej szacie graficznej. Wyszło ich w sumie

57. Bez wątpienia okazały to był periodyk, który stwarzał możliwości publikacji ambitnym pisarzom i plastykom z emigracji i z kraju.

Aczkolwiek raz po raz drukowałem w nim różne teksty, nie wykorzystałem należycie oferty. Obowiązki zawodowe i przeniesienie się do Kanady nie pozwoliły na pełny udział. Tym niemniej zdołałem wydrukować kilka poważniejszych prac, w tym przekład dwuaktowej komedii Federico Garcii Lorci, sztukę Argentyńczyka Osvalda Draguna, esej T.S. Eliota, opowiadania J.L.Borgesa oraz psalmy Ernesta Cardenala oprócz wierszy i recenzji. Na łamach „Oficyny" ukazały się po raz pierwszy przewrotne bajki Gwatemalczyka, Augusta Monterroso. Pamiętam też, że raz posłałem przekłady wierszy dwu kanadyjskich poetów, z którymi pracowałem w głównym, neogotyckim budynku uniwersyteckim o pięknej kwadratowej wieży, w London, Ontario. Jednym z nich był anglista James Reaney, dramaturg i poeta, drugim, młody asystent na anglistyce, poeta i filmowiec, który później dopiero miał zasłynąć jako wspaniały powieściopisarz, Michael Ondaatje. Jego wiersz w „Oficynie" z pewnością był jego polskim debiutem. Nie doszedł natomiast do skutku sugerowany w jednym z listów tom przekładów poezji Louisa Dudka, poety kanadyjskiego polskiego pochodzenia, którego poznałem w Montrealu w 1971 roku.

Kiedy w latach sześćdziesiątych zamykał się miesięcznik młodych

„Kontynenty”, mógł był znaleźć kontynuatora w Czesławie Bednarczyku, ale miał on własne plany i ambicje hołubione od wielu lat. Mógł też czuć do młodych pisarzy pewne rozczarowanie, a nawet żal, że wobec starszych kolegów nie wykazywali należnego entuzjazmu czy pietyzmu, że nie inspirowała ich twórczośc średniego pokolenia poetów, którzy na emigracji pozostali bez własnej platformy i rzeczników. Młodzi wprawdzie głosili także obcość poezji skamandrytów, nie opowiadali się też zbyt ciepło po stronie awangardy, ale równocześnie nie doceniali osiągnięć poetów średniego pokolenia, nie brali ich sobie za wzór, a zerkanie na rówieśników w Polsce nie mogło się podobać.

W swoich wspomnieniach zatytułowanych „W podmostowej arkadzie” Bednarczyk oceniając krytycznie londyńską scenę nie pominął grupy młodych poetów skupionych przy piśmie „Merkuriusz Polski” a potem „Kontynenty”. Wyszliśmy w porównaniu z innymi, myślę, dość obronną ręką.

Nie zabierając głosu w imieniu wszystkich, sądzę, że wymienione w książce nazwiska naszych domniemanych wzorców wybrane zostały dość arbitralnie. Jerzego Niemojowskiego szanowałem za obsesyjną wręcz dedykację rzemiosłu poetyckiemu. Znalazł czas, by go w zupełności poświęcić pisarstwu i skupić się na swoim warsztacie. Tego tylko zazdrościć. Natomiast nigdy nie był mi wzorem czy mistrzem, jego utworów nie znałem dostatecznie, nie

były w moim stylu. Podobnie mogę powiedzieć o Janie Brzękowskim. Nie spotykałem się z nim, nie korespondowałem, nie znałem jego wierszy. Tadeusza Sułkowskiego konsultowałem w sprawie przekładu prozy poetyckiej Jiméneza, jego poezje znałem i ceniłem, ale nie brałem wzoru. Zawsze mnie pociągała poezja Miłosza, wdzięczny byłem, że zechciał do nas przyjechać dwa razy. Zwróciłem się do niego z prośbą o współpracę i otrzymałem odeń tekst, który potem moi koledzy krytycznie roztrząsali. To wszystko. T.S. Eliota znałem jako tako, nie byłem weń zapatrzony. To, co pisze Bednarczyk o wpływach tych ludzi na naszą poezję, mnie raczej nie dotyczy.

Od lewej: Czesław Bednarczyl i Jan Darowski w Drukarni pod Arkadą, fot. arch. F. Śmieji.

Już w 1966 roku Czesław Bednarczyk omawiając antologię wierszy „Ryby na piasku” napomknął:

> Ma rację, wydaje mi się, Wacław Iwaniuk twierdząc, że grupa Kontynenty… prędzej czy pózniej doczeka się swego

> historyka. Doczeka się choćby dlatego, że powstała w bardzo niecodziennych warunkach. Pamiętam doskonale nacisk gospodarzy i rodaków im pomagających kierowania młodzieży na studia techniczne, jak to się mówiło, i praktyczne. I właśnie pojawienie się grupy młodych ludzi interesujących się naszą literaturą i naukami humanistycznymi, mozolących się nad poprawną polszczyzną, piszących i ogłaszających wiersze i artykuły w „niepraktycznym" języku – musiało wzbudzić u starszych zrozumiałe zainteresowanie i dużo należnej sympatii.
>
> …Z radosną zazdrością patrzyłem na młodych zrzeszających się w imię polskiego słowa: czytałem zawsze z przyjemnością, choć zawsze przesadzone i na wyrost, wzmianki w prasie emigracyjnej o nich.

Chętnie się z powyższym zgodzę, a nawet nie protestuję, kiedy ciągnąc dalej powiada

> Łatwość druku, częste i za byle co dawane nagrody dla młodych adeptów sztuki poetyckiej tylko ich rozzuchwalało. Wieczory autorskie w kadzidlanym dymie i wzajemnych koleżeńskich pochwałach u wielu co najmniej wywoływały pobłażliwy uśmiech. Nawet Grydzewski drukował im, łamiąc zasadę, wiersze bez znaków pisarskich i wszystko małą

> literą. Tego mu chyba ortodoksyjni Skamandryci nigdy nie wybaczą.

No, ale jak wcześniej powiedziałem, nie wypadliśmy w sumie tak źle. Innym się dostawało mocniej, bo życie miewa swoje nieodzowne amplitudy. Nawet Bednarczyk później zauważył:

> gdy teraz spoglądam wstecz, widzę potrzebę istnienia obok siebie i pochwał i skrajnej nawet krytyki wraz z niechęcią ludzi usiłujących szkodzić.

Nie zdążył jednak, jak zamierzał, odpowiedzieć na atak kilku osób, które w „Kulturze" podpisały list w obronie domniemanie szkalowanego przez Bednarczyka Bronisława Przyłuskiego.

Nie godząc się na zarzut, 'że prawie wszystkich nie lubi',Bednarczyk odpowiedział w liście do „Kultury" (3/534 z 1992 roku), że to nieprawda, ale przyznał, że

> Nie lubi i nie szanuje tych tylko, którzy przywłaszczyli sobie pieniądze społeczno-państwowe, którzy brali i biorą od obcych pieniądze: obojętnie od czerwonych, czarnych czy białych, nie lubi przedwojennych endeków, którzy na

> emigracji udają filosemitów, nie lubi byłych komunistów udających dzisiaj ideowych patriotów, nie lubi socjalistów…

Bednarczykowie mieli piękny domek z pielęgnowanym ogródkiem, do którego uciekali po pracy spod hałaśliwego mostu. Czesław pisał rzetelne, cenione wiersze, pochodzące z dojrzałego, warsztatu, a świadczące o wyrobionym smaku autora i gustownie je wydawał. Krystyna debiutowała późno, ale zdołała uchwycić własny głos i pisała teksty, które się podobały.

Nie da się zaprzeczyć, że oboje ciężko pracowali, znajdywali od czasu do czasu wsparcie i dobrych przyjaciół, ale nie potrafili wybić się na tyle, by wolni od koniunktur miejsca i czasu, mogli byli swobodnie i na dłuższą metę wydawać pokupne książki. Ich dzieło imponuje zważywszy skromne warunki lokalowe i ludzkie. Stanowili jedną z tych witalnych cząstek ofiarnej i patriotycznej emigracji, która już nie miała się doczekać godnych następców, gdyż była nietypowa i niepowtarzalna.

Oficyna z jej półtysięczną listą wydawnictw to pomnik wielkiego wysiłku, wprawdzie papierowy, ale trwalszy od spiżu.

Klarnecista z Auschwitz. Wojciech Gniatczyński (1924-1985).

Florian Śmieja

Wojciech Gniatczyński na zawodach lekkoatletycznych na Uniwersytecie w Cork.

Wojtka poznałem jesienią 1947 roku na studiach w Irlandii Południowej. Mieszkaliśmy w tej samej bursie, razem uczęszczaliśmy na wykłady, bywaliśmy w tych samych lokalach. Swoim uśmiechem i ujmującą nieśmiałością ten wysoki i

przystojny szatyn potrafił oczarować każdego. Widzę go jako człowieka schorowanego po przeżyciu obozu w Auschwitz i Dachau. To te ciężkie doświadczenia, pewny jestem, spowodowały także opory i wahania, które hamowały i ograniczyły jego twórczość literacką.

Już w irlandzkim mieście Cork wybijał się wśród kolegów wszechstronnym oczytaniem i pięknym, precyzyjnym językiem. Kochał muzykę i malarstwo. Pisał i przekładał z angielskiego i nie spieszył się z drukowaniem. Czekał na przychylniejsze czasy, które długo nie nadchodziły. Najpierw przeszkodę stanowiły niepewne warunki materialne, potem, niemożność opanowania choroby. Może nauczony cierpliwości, potrzebował większego dystansu do pisanych tekstów? Wiele lat później w ostatnim liście z Monachium w roku 1982 donosił, że lekarze wreszcie postawili właściwą diagnozę jego uciążliwej choroby płuc. Ufał, że wyzdrowieje, przejdzie na wcześniejszą emeryturę i będzie mógł w końcu swobodnie pisać i wydawać.

Będąc, jak zwykł był mówić, jednym z tych niepraktycznych młodych, którzy na obczyźnie poszli na studia humanistyczne, borykał się potem w Londynie z trudnościami nie mogąc znaleźć zatrudnienia. Od pracy fizycznej uchroniło go wydawnictwo Veritas, w którego pismach „Życie” i „Gazeta Niedzielna” pojawiły się pierwsze utwory Gniatczyńskiego w postaci artykułów publicystycznych, krytycznych i wierszy. Dzięki

animatorowi emigracyjnych debiutów w Londynie, poecie i poloniście Józefowi Bujnowskiemu, w 1954 roku ukazał się tom poezji Gniatczyńskiego „Próby” (Polskie Towarzystwo Literackie, Londyn), dziś prawie nieznany, bo nakład był niewielki, a autor nie zatroszczył się, by go szerzej rozprowadzić .

Te pierwsze wiersze pisane były we Włoszech, Irlandii i Londynie. Objawiają one poetę dyskretnego, delikatnego, nie celebrującego swojego dokonania. Charakteryzuje je melancholia i zaduma nad złożonością świata i ludzi. Gniatczyński już wtedy rozróżniał „Dym, znak życia. Dymiący komin to znaczy ciepło, kobieta przy piecu.” Ale znał również dym inny „Dym śmierdzący, żółty – z krematorium”. Poznał też i starał się wyrazić miłosną udrękę, mocował się z istotą Londynu, w którym usiłował się zadomowić. Wraz z Olgą Żeromską i Januszem Jasieńczykiem (Poray-Biernackim) mieszkał we wspólnym mieszkaniu-pracowni, zwanej kahałem.

Z sympatią przyglądał się wykluwaniu się pism młodych w latach pięćdziesiątych w Londynie. Nieco później w swoim liście z Monachium wspominał:

> …na pewno pamiętasz jakeśmy w Veritasie łamali pierwsze numery „Życia Akademickiego” – a ostatecznie to był praszczur obecnych „Kontynentów”. Pamiętam też, że sobie

> wtedy z trudem zapracowane 10 s. (szyligów – FS) odmówiłem, żeby kupić „dożywotnią” prenumeratę – hej, łza się w oku kręci!

Z wysokości swego doświadczenia dodał wtedy rzeczowo:

> Jedna sprawa która jest w moim przekonaniu najistotniejsza. Jakiekolwiek pismo literackie musi mieć pewien po prostu czysto zewnętrzny rozmiar. „Kontynenty” są za małe – cóż tam się zmieści? I dlatego wydaje mi się, że bez subsydium pismo nie może ujechać. Zresztą chełpienie się, że „my bez subsydium” jest zupełnie dziecinne. Dzisiaj nie ma na całym świecie ani jednego pisma literackiego bez subsydium. Może jedne „Wiadomości”, ale Grydzewski też na pewno skądś dostaje pieniądze, tylko ta sprawa nigdy jeszcze nie wypłynęła – *as far as I know*. Ostatecznie instytucje i ludzie z pieniędzmi po to są, żeby je wydawać na rozsądne cele. I tak było zawsze, zawsze sztuka etc. musiały mieć swoich mecenasów. Słowem jest to sprawa, nad którą powinieneś się poważnie zastanowić.

Kiedy zaofiarowano mu pracę w radiu, musiał opuścić literackie środowisko Londynu, lecz również w Monachium wśród kolegów w pracy znalazł kongenialnych ludzi i ciekawych pisarzy jak

Tadeusz Nowakowski czy Czesław Straszewicz. Gniatczyński nie był pisarzem płodnym. Pisał szkice krytyczne, przekładał bez pośpiechu. Pamiętam, że dokonał przekładu sztuki irlandzkiego dramatopisarza J.M. Synge'a, tłumaczył Tomasza Moore'a, Shelleya, Eliota, Conrada. Wiersze drukował rzadko, najchętniej w „Wiadomościach", dlatego ubolewał, kiedy przestały w 1981 roku wychodzić.

Choć wyjechał z Anglii nadal życzliwie obserwował losy pism, z którymi współpracowałem. Nie znaczy to, by przyjmował wszystko za dobrą monetę. Znajdując się w samym środku walki ideologicznej i dysponując bogatą znajomością spraw obozu komunistycznego, wytykał w swoich listach naszą ślepotę i pochopne sądy. Nawiązując do obranej dla antologii naszej poezji metafory „ryby na piasku" napisał:

> Zawsze natomiast zarzucałem „rybom na piasku", że obojętnie płyną swoimi rzeczułkami, nie zważając na trzepotanie się w pobliżu innych rybek, złapanych w sieci przez totalistów. Czerniawski pisze, że Iwaniuk oskarża komunistów, a nie widzi niesprawiedliwości w Kanadzie. Przecież porównywanie jednego z drugim to wierutne głupstwo. No właśnie: to jest to czego nigdy nie rozumiałem.

Dla poezji Gniatczyński miał zawsze wysokie uznanie. Ideał

widział w poezji zwięzłej, używającej trafnego słowa, bez taniego nowatorstwa. W jej naturze spodziewał się wieloznaczności i niesprawdzalności w wyrażanej przez nią uczuciach. Nie łączył jej z intelektem, ale ze świadomością, a więc ze zjawiskiem niejasnym i zamazanym. Wedle niego poeta dobiera słowa do słów i nie należało go pytać o intencję, bo sam twórca bardzo szybko nie pamięta i nie rozpoznaje elementów autopsji i zmyślenia. Jego zdaniem, sam utwór sobie wystarcza i przedstawia sobą nową materię. Do wierszy politycznych podchodził z mniejszą konsekwencją. Raz ich nie uznawał twierdząc, że poezja jest zawsze „implicite" a nie „explicite", ale kiedy indziej chwalił funkcję upolitycznionych wierszy jako siłę mobilizującą duże rzesze odbiorców.

> Moim zdaniem – napisal kiedyś w liście – w poezji nie ma miejsca na słowa dziwne, na popisywanie się leksykonologiczne. Moim zdaniem, prawdziwa poezja to poezja najprostsza – ale nie tą kłamaną, rzekomą prostotą Kasprowicza, tylko prostotą Mickiewicza. Słowo „łzy" jest tak oklepane, że się od niego rzygać chce – ale przecie „Polały się łzy me…" – to właśnie poezja.

Wojciech Gniatczyński, fot. arch. Floriana Śmieji.

Tom „Wiersze dla Magdalenki” wydany po śmierci był drugą książką Gniatczyńskiego i nie obejmuje całej jego spuścizny poetyckiej. Nieomal wszystkie teksty, które zawiera, były wcześniej drukowane w czasopismach emigracyjnych, choć zebrane stały się łatwiej dostępne dla zainteresowanego czytelnika. Podzielone zostały na cykle: „Pejzaż z postaciami”,

„Dzieci”, „Wiersze krótkie”, „Czarne nagietki”, „Spostrzeżenia z morałem”. Towarzyszą im przekłady tak różnych poetów jak Janos Pilinszky, P.B. Shelley i Theodore Roethke.

Poeta mówi w nich o samotności, o znikomości rzeczy, o straconej miłości. Potrąca też strunę bolesną – do końca głęboko skrywane przed innymi przeżycia obozowe. Nie opowiadał o nich nigdy, ponoć dopiero na łożu śmierci wróciły w majakach. Być może Gniatczyński ocalił swe życie, bo grał na klarnecie w obozowej orkiestrze.

W wierszach, w których tę tematykę porusza, nie mówi jednak o sobie, mówi o dzieciach. Przypomniał ich tragedię przyrównując ich los do zagłady ufnych dzieci, które przed wiekami wyruszyły na krucjatę, z której już nie miały powrócić. I zapamiętał, że przyroda pozostała obojętna na to, co się dokoła działo. Stanowiła tło zarówno dla sielanki, jak i dla masakry. Była tylko częścią okrutnego czasu. Poeta napisał:

> A niebo było błękitne
>
> jak cyklon w komorze gazowej.

Tylko ironia i paradoks mogły towarzyszyć mu w wycieczce w krainę nieludzką zbrodniczej przemyślności zdeprawowanego człowieka:

> Ciężka na świecie zima
>
> polska.
>
> Na grudzie zeschnięte
>
> zielska.
>
> Tylko w komorze gazowej
>
> ciepło.
>
> Tylko w sercu człowieka
>
> piekło.

Lektura tej poezji, tak jak lektura każdego prawdziwego pisarza, zmusza do zastanowienia się nad wieloma pytaniami, które stawia (z pewnością nie są to wiersze tylko dla córeczki), każe też boleć nad losem całej twórczości Gniatczyńskiego, nie dokończonej i rozproszonej. I nie napisanej. Poeta, niewątpliwie

obdarzony talentem, nie zdołał napisać dzieł, których mogliśmy słusznie się po nim spodziewać. Zabrakło mu okresu spokoju, by mógł wylać na papier to wszystko, co go przez lata nurtowało i powoli dojrzewało. Musimy natomiast zebrać teksty wydane i rozproszone po czasopismach czy pozostające w rękopisie. Zachowując pamięć uroczego człowieka, nie zapominajmy o skompletowaniu jego twórczości, której jedynie cząstkę posiadamy.

Jan Darowski – poeta nieznany?

Szkoda, że czytelnicy krajowi nie znają ani nazwiska Jana Darowskiego,

ani wielu innych poetów piszących poza krajem.

Czesław Miłosz, *Gorzki wiersz,*

„Tygodnik Powszechny”, 14.09.2003

Urszula Iżycka

Jan Darowski

Literatura emigracyjna – po boomie pod koniec lat osiemdziesiątych i początku lat dziewięćdziesiątych – ulega

stopniowemu oddaleniu (w sensie dosłownym i przenośnym) i zapomnieniu. Oprócz kilku od lat uznanych nazwisk twórcy emigracyjni pojawiają się na rynku wydawniczym i w czasopismach sporadycznie. A może faktycznie – tak jak pisze Miłosz – *szkoda, że czytelnicy krajowi nie znają […] wielu […] poetów piszących poza krajem.* Jednym z tych Wielkich Zapomnianych, którego nazwisko przywołuje Miłosz w *Gorzkim wierszu,* jest – zmarły w 2008 roku – Jan Darowski. Był on poetą – jak określiła Maria Danielewicz Zielińska – o *niemal powieściowym życiorysie.*[1] I ten właśnie życiorys, stwarzający kompleksy, ale także wyzwalający świadomość artystycznego statystowania historii, sprawił, iż jego poezja jest pełna pesymizmu, jest przestrzenią złożonych wyborów, nierozwiązywalnych napięć. A historia jest okrutna, nie liczy się z ludźmi, narodami, czasem. Jej przerażających wyroków Darowski doświadczył w swoim życiu kilka razy. To ona zaważyła w sposób dramatyczny na życiu i twórczości poety.

Urodził się w Brzeziu na Górnym Śląsku w 1926 roku. Swoją edukację rozpoczął w Szkole Graficznej w Katowicach. Tam też, po wybuchu wojny, opowiadając się po stronie polskości, zaangażował się w ratowanie polskich książek, ale historia sprawiła, że w 1944 roku został wcielony do Wehrmachtu i wysłany na front francuski. W trakcie bitwy o Normandię przeszedł na stronę aliantów i wstąpił do polskiego wojska. Do końca wojny walczył w 1 Dywizji Pancernej, a pod jej koniec

został instruktorem w Szkole Taktycznej w Catterick. Od 1946 roku przebywał w Anglii, imając się różnych zajęć, często dalekich od jakichkolwiek związków z literaturą. Wszystkie te okoliczności sprawiły, że dopiero w 1951 roku zdał w Londynie maturę. Marzył o podjęciu studiów filozoficznych, jednak ze względów finansowych stało się to niemożliwe. Przez długi okres w dzień pracował jako zecer, był także kontrolerem w angielskiej fabryce broni, natomiast nocami pisał, tłumaczył, uzupełniał swoje wiadomości. Jest autorem dwóch zbiorów poezji: *Drzewa sprzeczki* (Londyn 1969) oraz *Niespodziewanych żywotów* (Londyn 1990). Tłumaczył też na język angielski polską poezję, zdobywając opinię jednego z lepszych tłumaczy. Przy tym warto podkreślić, że wszystko, co osiągnął jako poeta, krytyk literacki i tłumacz było wynikiem jego samokształcenia i ogromnej wrażliwości.

Do przedwojnia oraz okresu wojny i pierwszych wyborów – wyborów narodowości, języka, swojego miejsca w społeczności, zagubienia w świecie – powraca często z ironią, a trochę też z rozgoryczeniem, w swoim wierszu *Kulturkampf*:

> Od chłopięctwa niemal
>
> mieszka za granicą

w ojczyźnie Szekspira

i pisze po polsku –

co się za tym kryje?

To może:

Trzydzieści lat temu

ktoś go w twarz uderzył

za kilka słów polskich

a on mu nie oddał

I wcale nie dlatego

że przed tamtym stchórzył

a tylko bo tamten

co miał twarz jak gówno

> Goethem ją zasłonił!

Jednak jego nazwisko przywołuje się najczęściej w kontekście „kontynentowców”, obok Buszy, Czaykowskiego, Czerniawskiego, Ihnatowicza, Sity, Śmieji, Taborskiego. W grupie *Kontynentów***[2]** pojawił się w 1958 roku za sprawą Bolesława Sulika, który był – jak mówi sam Darowski – jego *literackim ojcem chrzestnym.***[3]** Ten – jak wspomina Florian Śmieja – *oryginalny poeta i doskonały krytyk wniósł świeże, odważne spojrzenie, niebanalną myśl, wiele serca oraz gruntowną znajomość warsztatu drukarskiego.***[4]** I od „pierwszych dni” stał się też głównym – obok Czerniawskiego – krytykiem „kontynentowców”. W przeciwieństwie do najczęściej pisanych pozytywnych recenzji lub omówień twórczości członków tej samej grupy, obaj poeci mieli bardzo krytyczny stosunek do siebie i swoich przyjaciół. Florian Śmieja wspomina po latach: [Darowski] *był odważny na tyle, że potrafił powiedzieć od siebie sporo rzeczy krytycznych, bardzo nowych i oryginalnych. Miłosz zawsze chwalił wypowiedzi Darowskiego.***[5]**

Pierwszy tom jego poezji – *Drzewo sprzeczki* (Londyn, 1969) – poprzedziła, przyznana mu w 1968 roku, nagroda im. Tadeusza

Sułkowskiego. Tomik ten składał się przede wszystkim z wierszy drukowanych w kwartalniku *Oficyna Poetów*, w Chmielowcowych[6] *Wiadomościach* i w paryskiej *Kulturze*. Powstał on po długim wahaniu poety, który nie mógł zdecydować się na wydanie swoich rozproszonych po czasopismach, tekstów. Niewątpliwie jedną z przyczyn tego była nieufność do języka, ale także świadomość ograniczenia możliwości poznawczych człowieka.

O wartości poezji autora *Drzewa sprzeczki* świadczy przede wszystkim ciągłe poszukiwanie nowego wymiaru świata, ale też dążenie do poznania prawdy o człowieku, jego usytuowaniu w rzeczywistości, w której staje się on i podmiotem, i przedmiotem. Darowski formułuje wiele istotnych pytań aksjologicznych, świadomie zawieszając je w próżni. Podmiot liryczny, podporządkowany prawom biologicznym i mechanizmom społecznym, usiłuje odnaleźć siebie, swoje emocje i uczucia.

Tragizm człowieka współczesnego, poczucie osamotnienia, wyobcowania, polskość, a wreszcie miejsce Polaków na emigracji, w różnym nasileniu, pojawia się u Darowskiego bardzo często. Poeta w liście do Jana Wolskiego pisze: *gadka, że w końcu pisuje się dla jednej czy kilku osób, nie jest na emigracji gadką pustą. Już sama nasza konieczność jest taka, z rezultatami bardzo pozytywnymi i bardzo negatywnymi. Zależy jak u kogo.**[7]*** Dramat ten, wynikający z buntu przeciw historii,

przeciw sytuacji, która wymusza pewne wybory, postawy, wpływał zarówno na życie poety, jak i na jego twórczość, począwszy od problemu języka, a skończywszy na wyborze poetyki.

O swoich „przygodach z językiem” Darowski, podobnie jak inni poeci „Kontynentów”, mówił wiele razy. Problem ten pojawiał się często, zarówno w wypowiedziach na łamach pisma, m.in. w niezmiernie ważnej dyskusji w 1960 roku, w której udział wzięli: Czaykowski, Czerniawski, Darowski, Ławrynowicz, Śmieja, jak i w poezji. Celem dyskusji, która w dużej mierze poświęcona została przedstawieniu obrazu indywidualnych kontaktów z językiem polskim, była próba odpowiedzi na pytanie: *czy mamy szansę przeżycia jako pisarze w języku polskim?* W tym kontekście wręcz dramatycznie brzmiały ich wypowiedzi. Darowski wówczas zauważył: *Język […] nieoparty na konkretach, na osobistym doświadczeniu, stanie się wysoce oderwany, bez zdolności regeneracyjnych – skamienieje. To niestety, odnosi się i do wielu z nas****[8]*** W podobnym tonie brzmi jego wiersz *Wieczne póro/Foutntain pen:*

> W języku polskim
>
> Pióro to mam wieczne –

> W angielskim byłoby fontanną
>
> Piękną fontanną!
>
> Lecz chyba woda czymś poczerwieniona
>
> By mi z niej tryskała
>
> A nie moja krew
>
> Na innych historycznych kołach
>
> Jadą wozy naszej wyobraźni
>
> I nie da się przesiąść wolny od bagażów
>
> Nie da z siebie zleźć
>
> Dalej tamte koła
>
> We krwi nam się kręcą

Dla wszystkich biorących udział w dyskusji językiem „naturalnym”, „pierwszym” był język polski. Starsi, tak jak Darowski, urodzeni między 1925 a 1929 rokiem[9], przyjechali

na Zachód w pełni już ukształtowani, zakorzenieni w języku i kulturze. Jednak i oni, przed przybyciem do Anglii, przechodzili okresy ograniczonego kontaktu z polszczyzną, stąd tak wiele w ich wypowiedziach wątpliwości i niepewności. Ihnatowicz po latach wspomina: *To, że ja i inni z mojego pokolenia na emigracji pisali po polsku, płynie w dużym stopniu z tego, że język domu i dużej części naszej edukacji przeduniwersyteckiej był polski. Tkwiliśmy więc mocno w kulturze polskiej. O ile mi wiadomo, byłem pierwszym w tej grupie, który publikował wiersze też po angielsku.* Powodem pisania wierszy angielskich – jak wspomina poeta – była *po prostu chęć, by znaleźć miejsce w literaturze „kraju osiedlenia", […]. A także coraz większe zadomowienie w języku angielskim.**[10]** O odchodzeniu od języka „pierwszego" i pojawiających się coraz częściej rozterkach pisze Darowski w wierszu, o jakże wymownym tytule – *Nie znam ojczystego języka (Z wieczorów autorskich):*

> Moje jak żywe obrazy
>
> ściany mi odsyłają
>
> Mam się (czy siebie) powiesić?
>
> Niejasne

> płynie szmer po sali –
>
> w sercu echa nie budzą
>
> czego ten człowiek chce?
>
> Jeść! Krzyczę
>
> Na co mi jeden stary gwóźdź programów:
>
> Myślisz to zrozumie?
>
> Naucz się po polsku
>
> Jeść tutaj
>
> mówi się: Honor
>
> Ojczyzna
>
> Bóg!

To pragnienie „zadomowienia się” niewątpliwie sprawiło, iż

bardzo wcześnie zaczął pisać w języku angielskim. Swój pierwszy wiersz angielski napisał już bowiem w roku 1949, i anglojęzyczną twórczość kontynuował przez pięć lat. Jak powiedział podczas dyskusji o języku, *pisałem po angielsku i obracałem się w środowisku podobnie usposobionych młodzieńców, Anglików, w Londynie. Nie drukowałem nic, bo chciałem wyjść „gotowy”.**[11]*** Może właśnie ta postawa sprawiła, że obecnie Darowski jest uważany za jednego z najlepszych tłumaczy polskiej poezji na język angielski.[12] Za najlepszego tłumacz polskiej poezji na język angielski uważał go także Kazimierz Wierzyński. Adam Czerniawski wspomina, iż poetę przez wiele lat dręczył problem wyboru języka: *dobrze pamiętam nasze rozmowy kiedy Darowski zastanawiał się, czy nie przerzucić się na angielski. Ten pomysł bardzo mu się podobał. Bo dawał on do zrozumienia, ze polska poezja jakoś mu nie wychodzi.**[13]*** Kilkakrotnie Darowski wyrażał również przekonanie, iż w wielu dziedzinach, w porównaniu z językiem angielskim, język polski jest niższy intelektualnie, mniej precyzyjny i klarowny akustycznie (*te pretensjonalne, mało myślące szczebioty)**[14]*** oraz jest zbyt retoryczny: *wszędzie kładzie nas nasz język – niski pułap metafizyczny jego rzeczowników, jego szczęki krusząca polisylabika, nadająca się do wyższych operacji myślowych jak młockarnia do muzyki Mozarta.**[15]*** Na tę wypowiedź zareagował Miłosz, pisząc, iż *ktoś, kto jak Darowski musi w życiu codziennym ciągle przerzucać się z angielskiego do polskiego i odwrotnie, jest wyczulony na niektóre skłonności polszczyzny*

*przez ludzi w Polsce rzadko dostrzegane i sądu jego nie trzeba lekceważyć.**[16]***

Jednak, jakby wbrew samemu sobie, Darowski pisze w języku polskim. Pomimo iż język młodości, język utraconej ojczyzny nie jest językiem codziennym, a po kilkunastu latach ograniczonego z nim kontaktu łatwiej wypowiada się w języku angielskim (*Wieczne pióro/Fountain pen*), jednak okazuje się, że to w nim może wypowiadać swoje najbardziej skryte myśli. O tym wymuszonym przez rzeczywistość bilingwizmie „kontynentowców" pisze w swoim dzienniku Witold Gombrowicz: *Ich angielskość tłumi, onieśmiela ich polskość. Ich polskość nie pozwala angielskości, by się w nich wszczepiła .Niepospolicie trudne jest ich zadanie, prawie karkołomne – tak skombinować te dwa bieguny, żeby z nich powstała elektryczność rozwiązująca język.**[17]***

Ks. Jerzy Sikora, Czesław Bednarczyk, i Jan Darowski w drukarni Krystyny i Czesława Bednarczyków w Londynie, fot. arch. Floriana Śmieji,

Darowski pisał nie dla czytelnika (nigdy o niego nie zabiegał, a druk kolejnych wierszy i tomików wręcz wymuszali na nim przyjaciele, m.in. Florian Śmieja), ale dla siebie, z jakiegoś nieokreślonego, wewnętrznego przymusu. Ta sytuacja wpłynęła na pewno na to, iż język ten był traktowany przez niego w sposób wręcz lingwistyczny, a każde słowo rozpatrywane w sposób

szczególny, traktowane jak coś wyjątkowego i niezmiernie wartościowego. W jego utworach można zauważyć niesłychaną wprost oszczędność środków poetyckich: *Nie są to na ogół wiersze łatwe do recytacji, daleko im do gładkości, unikają najczęściej regularnej interpunkcji, nie dążą bowiem do retoryki, pozbywają się oczywistych chwytów „taktycznych" wierszoróbstwa, nie chcą być także traktatem – chodzi im raczej o pewną wieloznaczność, odzwierciedlającą skomplikowane przeżycia i nastawienia, dającą dystans, zmuszającą do współpracy czytelnika. […]jedynie czasami całkowite odmetaforyzowanie prowadzić mogło do żywej metafory i jedynie odpięknienie wydawało się pozwalać na odkrycie prawdziwego kruszcu w brunatnej skale. .**[18]***

Ten niezwykle świadomy stosunek do języka wynikający – jak napisał Miłosz – z tego niesamowitego *wyczulenia na niektóre skłonności polszczyzny,* wpłynął niewątpliwie na podobieństwo jego tekstów do poezji Białoszewskiego, Herberta, Różewicza, Szymborskiej – twórców szczególnie wrażliwych na słowo. Sam jednak poeta odcinał się od utożsamiania go z ich poetyką. Nie chciał zresztą by łączono go z jakimikolwiek szkołami, manifestami, programami. Podkreśla swoją odrębność i „osobność":

> Ciągle mnie odsyłają do jakichś tam szkół

i przytułków swoich

żeby zaraz porozstawiać po kątach

za brak tożsamości

Już na oślej ławce

w szkole im. Mirona za to siedziałem

Aż zaróżowił się któremuś w głowie

Różewicz

lecz gdy pokazałem im język

poprawili: lingwista

Najchętniej to wypiąłbym się na nich

ale się boję

zaraz przylepią temu jakąś etykietę

powiedzmy: poezja konkretna

> albo nawet
>
> awangardą zerżną ariergardę
>
> Uroki wagarów

Obronę przed jednoznacznym przyporządkowaniem odnaleźć możemy również w *Wadze powagi*. Podmiot liryczny obawia się, iż raz określony, przypisany do jakiegoś kierunku przez *Bardzo Poważnego Krytyka,* któremu

> Jeżeli […] kiedykolwiek uda
>
> przytroczyć do niej jeden z ciężkich
>
> staroświeckich gratów na których on waży
>
> to już z miejsca nie ruszę!

Jednak, wbrew temu, co napisał poeta, przed czym tak bardzo się bronił, można doszukać się pewnych wspólnych cech dla tych twórców. Trudno oprzeć się wrażeniu, że wynika to właśnie ze

szczególnego podejścia do słowa, którego znaczenie poeci ci podkreślali zarówno w warstwie ściśle leksykalnej, jak i ikonicznej oraz metaforycznej, a także spowodowanego bardzo dla nich charakterystycznym oglądem świata, w którym ogromną rolę odgrywają przedmioty. [19]

Tym bardziej więc Darowski „bawi się" słowem, jakby próbował odpowiedzieć na pytanie, które stawia sobie w wierszu *Tylko słowa: Słowa słowa / cóż potrafią słowa?,* penetruje zawarte w nich możliwości znaczeniowe, fascynują go szczególnie wszelkiego rodzaju ekwiwokacje, homonimy, gry słów: *klucz jest od kluczenia i do wykluczenia* (*„Z psychologii klucza"*); *na koturnach-nokturnach* (*„Na schodach"*); *zaróżowił się Różewicz; awangarda-ariergarda („Uroki wagarów"); orient zdezorientowany („Moje święcone"); były strofy, antystrofy, katastrofy nie było* (*„Ikar"*). Uderza w jego wierszach językowa prostota, czasami wręcz „chropowatość" podkreślająca nieufność wobec zastanej rzeczywistości, wobec współczesnej cywilizacji. Świat jest dla niego krainą ułudy, pustki, samotności, w którym nie ma miejsca na człowieka, na jego pamięć i marzenia. Bohater liryki Darowskiego broni się więc ironią i stwarzaniem intelektualnego dystansu wobec opisywanych zjawiskach;

> Bo oto nam ręce parzy

prasłowiański łój

z jego prazapachem łojowej świeczki

kopcącej się w pustej czaszce

z jego niestrawnością

preorganiczną

z jego zwojami tłustych zawiłości

o życiu

o śmierci

o destylacjach z niezapominajek

o zbawieniu w bursztynie

Orient

zdezorientowany

trochę turkot

> trochę turban
>
> piątego koła wozu Europy
>
> Moje święcone

Niepewność dotycząca własnej twórczości towarzyszyła Darowskiemu przez cały czas. Okazało się, że po wydaniu *Drzewa sprzeczki* znów zamilkł na długie lata, a do rozterek natury literackiej doszły jeszcze dodatkowe, o których wspomina w rozmowie z Markiem Pytaszem:

> Życie mnie […] wycofało z życia literackiego. Całe moje pisanie było zawsze na wąskim marginesie wolnego czasu po pracy zawodowej […] Gdzieś około roku 1973 doszło nagle do jakby koniunkcji wszystkich krzywookich ciał niebieskich: kłopoty rodzinne i zawodowe, zdrowotne i z redaktorami, którzy „cenią śmiałą, niezależną myśl”, ale tylko w formie błyskotliwych komunałów.***[20]***

Sytuacja ta sprawiła, iż do 1988 roku Darowski niczego nie drukował i może trwało by to znacznie dłużej gdyby nie Florian

Śmieja, który zaskoczony ilością wierszy *kiszonych w teczkach***[21]** zabrał kilkanaście z nich do kraju, gdzie wszystkie zostały wydane w *Odrze* i *Więzi.* Ten niewątpliwy sukces sprawił, iż już w 1990 roku pojawił się dość obszerny tom poezji noszący tytuł *Niespodziewane żywoty* będący nie tylko zbiorem wierszy z ostatnich lat, ale podsumowaniem całej twórczości poety.

Wszystko uczłowieczam / we własną świat ubieram skórę – słowa te mogą stać się swoistym mottem twórczości Darowskiego. To właśnie człowiek był dla niego centralnym punktem kultury, świata. To wokół niego, i w nim samym, tworzy się rzeczywistość. Poeta zdawał sobie sprawę, że nie może on istnieć poza czasem, poza historią, stąd tak wiele w tym tomie znów pytań o człowieka właśnie, o jego miejsce, pamięć, powinności, marzenia i troski. W takim widzeniu świata ważną rolę odgrywa poezja. Za jej pośrednictwem ujawnia się to, co najbardziej istotne, to, co ludzkie. W wierszu *Humanistą jestem* pisze :

> […] nie wierzę w cuda
>
> wszystko wszystko na tym świecie
>
> człowiek umie stworzyć
>
> Bo jeśli umiał stworzyć tyle piekieł

> jakieś niebo w końcu mu się uda

Człowiek, nawet tam, gdzie wydaje się być bezsilny, daleki od spraw współczesnych, bo *nie ma miłości w nakręcaniu świata* (*O tej porze dnia*), i kiedy *wielkie rzeczy dzieją się na świecie* on *wojuje z wiewiórką* (*Wielkie rzeczy*) – to jednak prawie zawsze okazuje się pomostem wiodącym w stronę rozważań aksjologicznych, uniwersalnych. Poezję Darowskiego zdominowały determinanty ludzkiego wpisania w świat, którymi są naturalne ludzkie uczucia, ale także problemy eschatologiczne stawiające człowieka w obliczu śmierci i przemijania:

> Na progu śmierci nie jest znów tak straszno
>
> nie jest zbyt zimno ani zbyt gorąco
>
> Na progu śmierci stoi się jak w wodzie
>
> lżejszy o ciężar wypartego życia
>
> Na progu śmierci stoi się najlżej
>
> gdy nasze życie miało jakąś wagę –

> i nie przynosi jej w worku jak złodziej
>
> Na progu śmierci

Poeta zmuszony do poszukiwań swojego miejsca na ziemi zaczyna wątpić w sens swojej poezji pisanej *sam nie wiem dla kogo* (*Pióro*), mając *w języku polskim /pióro […] wieczne*, które *w angielskim byłoby fontanną / piękną fontanną !* (*Wieczne pióro / Fountain pen*), a w konsekwencji przestaje wierzyć w sens swojej egzystencji. Przywołana postawa jest najwyraźniej widoczna w sytuacji wewnętrznego zagrożenia, gdy bycie emigrantem staje się niemożliwe do zaakceptowania, gdy nie można już powiedzieć, iż *język i życie są jedne* (*Język i życie*). Odsłanianie zagrożeń wewnętrznej swobody jednostki jest jednym ze sposobów manifestowania duchowej postawy poety przejawiającej się buntem przeciwko światu faktów. Kondycja wygnańca sprawia, iż jedyną obroną przed samotnością i wykorzenieniem jest pamięć, wyobraźnia i język – istniejące poza „tu i teraz", pozwalające przyjąć własny los i sprawiające, że staje się możliwe zachowanie swojej tożsamości.

Poezja Jana Darowskiego jest niezmiernie ciekawym zjawiskiem na tle literatury emigracyjnej i, myślę, iż warto jej poświęcić

więcej uwagi. Niestety poeta zmarł w Londynie 4 lipca 2008 roku. Można mieć tylko nadzieję, że jego twórczość, zarówno poetycka, jak i translatorska, nie ulegnie zapomnieniu i doczeka się obszerniejszego opracowania.

---

[1] M. Danilewicz Zielińska, *Szkice o literaturze emigracyjnej,* Wrocław, 1992, s.317

[2] O grupie „Kontynentów" napisano już wiele. Wyjątkowo wiele jak na grupę, która właściwie nigdy nie cieszyła się zbytnią popularnością. Kiedy spoglądamy wstecz trudno nie dostrzec, iż bardziej interesuje krytyków fenomen tej grupy niż twórczość poetycka jej poszczególnych członków. Na tyle jest to silne, iż wywołuje nieraz głosy sprzeciwu samych poetów, którzy po wielu latach pracy twórczej, wciąż są identyfikowani wyłącznie z początkami swojej literackiej działalności (zob. A. Czerniawski, *Krótkopis,* „Twórczość" , 12, 2000, s. 127-128). A przecież tych osiemnaście osób stanowiących trzon grupy, to, niewątpliwie, zbiór indywidualności – twórcy, którzy pełnię swoich możliwości twórczych osiągnęli wiele lat po rozwiązaniu „Kontynentów". Grupa ta wydała wielu doskonałych poetów, ale też tłumaczy, którzy do tej pory promują, lub promowali, literaturę polską na Zachodzie, a literaturę anglojęzyczną w Polsce. Warto tu wymienić chociażby nazwiska Andrzeja Buszy, Bogdana

Czaykowskiego, Adama Czerniawskiego, Jana Darowskiego, Janusza A. Ihnatowicza, Zygmunta Ławrynowicza, Jerzego Sito, Floriana Śmieji, Bolesława Taborskiego.

[3] *Rower jako wzór przyszłej literatury. Z Janem Darowskim rozmawia Marek Pytasz,* [w:] *Londyn – Toronto – Vancouver,* Lublin 1993, s. 65

[4] F. Śmieja, *Czekam na cud. Jan Darowski,* [w:] *Zbliżenia i kontakty raz jeszcze,* Katowice 2007, s. 171

[5] *O historii „Kontynentów" z pierwszej ręki. Rozmowa z Florianem Śmieją.,* rozmawiali Ewa i Marek Pytaszowie, „Odra", 2, 1988, s. 20-24.

[6] Michał Chmielowiec był redaktorem londyńskich *Wiadomości* od 1966 roku do 1974

[7] Cyt. za S. Ożóg, *Zamki klucza. Rzecz o poetyckich wyobraźniach Jana Darowskiego,* [w:]*Poetycki Krąg „Kontynentów". Artykuły i szkice,* pod red Z. Andresa i Jana Wolskiego, Rzeszów, 1997, s. 159

[8] Ibidem

[9] Także Zygmunt Ławrynowicz, Florian Śmieja Mieczysław

Paszkiewicz, Bolesław Taborski, Janusz A. Ihnatowicz

[10] Cyt. za: Beata Tarnowska, *Między światami. Problematyka bilingwizmu w literaturze. Dwujęzyczna twórczość poetów grupy „Kontynenty”,* Olsztyn, 2004, s.124

[11] *Cena wolności? Dyskusja o języku…*, s. 7

[12] Zob. B. Czaykowski, *[Introduction to Poems of Jan Darowski],* “Modern Poetry in Translation”, 1975, nr 23-24, s. 27

[13] Cyt. za: Beata Tarnowska, *Między światami…,* s. 125

[14] J. Darowski, *Kultura, dzieje, język,* „Wiadomości”, 1973, nr 1409, s. 2

[15] J. Darowski, *Z notatnika,* „Wiadomości”, 1972, nr 1385, s. 10

[16] . Cz. Miłosz, *Język, narody,* „Kultura”, 1973, nr 9, s. 8

[17] W. Gombrowicz, *Dzienniki 1957-1961,* Kraków, 1988, s. 281

[18] *Różnice między pokoleniami w literaturze na emigracji,* „Kontynenty – Nowy Merkuriusz”, 1960, nr 18-19

[19] Można wymienić tomiki: M. Białoszewskiego, *Obroty rzeczy* (1956), czy Z. Herberta *Studium przedmiotu ,* (1961), wiersz Szymborskiej *Rozmowa z kamieniem*

[20] *Rower jako wzór….,* op. cit., s. 68

[21] Ibidem*.,* s. 72

http://jandarowski.pl/napisano-o-darowskim/79-jan-darowski–poeta-nieznany.html

---

Życie piosenką usłane

Rozmowa z Jasią Jasińską – artystką lwowską, która przeszła szlak bojowy z 2 Korpusem Polskim gen. Wł. Andersa, po wojnie artystką teatru Hemara w Londynie.

Jasia Jasińska, w kawiarni i na estradzie, ten sam głos, ten sam

wdzięk ta sama Jasia.

(fragment zapowiedzi recitalu)

Jasia Jasińska, fot. arch. artystki.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: *Skończyła pani przed wojną szkołę muzyczną we Lwowie. Kto panią uczył?*

Jasia Jasińska: Uczyłam się w prywatnej szkole Malwiny Reiss. Zapamiętałam ją jako okropną dziwaczkę, bo jeszcze w latach

1938-39, sztywno nosiła staromodne wówczas suknie z długim trenem. W szkole miałam wspaniałego profesora, Włocha (nie pamiętam jak się nazywał). Grubas, źle mówił po polsku, ale wiedział jak ustawić mój głos. Był na prawdę nadzwyczajny. Bardzo też chciał mnie uczyć i zwabić do Konserwatorium wspaniały człowiek, Adam Sołtys – wielki dyrektor Konserwatorium we Lwowie, ale ja byłam wówczas w tej prywatnej szkole i się nie zgodziłam. A potem wybuchła wojna.

JSG: *Kim pani się bardziej czuje, śpiewaczką czy aktorką?*

JJ: Od urodzenia jestem i tą i tą, tak myślę. Zawsze fascynowała mnie piosenka aktorska, natomiast opera mnie nigdy nie pociągała, wydawała mi się sztuczna. Przed wojną występowałam we Lwowie na różnych scenach, ale nie operowych. Wystąpiłam też w koncercie na dwa fortepiany, ale fortepian nie był moją pierwszą miłością, instrument traktowałam uzupełniająco.

JSG: *Czy w pani rodzinie były tradycje teatralno-muzyczne?*

JJ: Matka miała bardzo piękny głos i sama sobie śpiewała. W tym okresie, nie można się było uczyć śpiewu, to byłby skandal. Grać na fortepianie wypadało, ale nie śpiewać na scenie. Gdy miałam 6 lat matka wysłała mnie do szkoły muzycznej na lekcje fortepianu. W domu był fortepian, ojciec trochę grał. Ale ja ciągle śpiewałam, śpiewałam i nie mogłam przestać. Więc

później matka w tajemnicy „szmuglowała” mnie do tej właśnie szkoły Malwiny Reissówny, abym się uczyła śpiewu.

JSG: *Czy pani rodzina też pochodziła ze Lwowa?*

JJ: Pochodzimy z wielkiego majątku koło Złoczowa. Nasz herb to Rawicz – „panna na niedźwiedziu”. Ziemie zostały nadane jeszcze przez króla Sobieskiego. Przepiękny pałac bolszewicy zniszczyli podczas pierwszej wojny światowej. Mama mnie tam zabierała, gdy byłam dziewczynką. O ile pamiętam tylko stryj tam urzędował, ojciec nie chciał pojechać. Był naukowcem. Studiował w Wiedniu. Znał języki: grekę, łacinę, naturalnie niemiecki. Ja się modliłam po niemiecku i bony miałam Niemki. Mój ojciec kochał Wiedeń. Opowiadał, jakie tam wymyślali żarty i zabawy. Studenci wszędzie są tacy sami. A mama pochodziła z Przemyślan. Uważała, że to troszkę niżej niż Złoczów. Mama była blondynką, a ojciec był szczupły i ciemny. Wyglądał troszkę na Turka, albo Tatara, w każdym razie na Azjatę. Kiedy ja urodziłam się we Lwowie, rodzice już tam mieszkali. Ojciec chciał być bliżej tej nowej, tworzącej się Polski. Nasz dom, projektowany przez kolegę ojca Karola Stryjeńskiego, (który projektował gmach Politechniki), mieścił się na ulicy Listopada. To była piękna dzielnica. Podczas wojny wszystko zginęło, fotografie, dokumenty, pamiątki.

JSG: *Po wybuchu wojny jeździła pani z zespołem Henryka Warsa*

od Odessy po Syberię.

JJ: Tak, już Rosja mnie zabrała, już nie miałam nic, ani domu, ani matki, ani Lwowa, ani Polski, nic. W naszym zespole był Eugeniusz Bodo, który doskonale mówił po rosyjsku. Ja nie miałam pojęcia o rosyjskim, śpiewałam jakąś polską piosenkę, chyba walczyka. W Odessie z naszym zespołem występowali też Żydzi, śpiewający przed wojną w różnych barach i kawiarniach. Nie rozmawiali po polsku, tylko w swoim języku – jidisz. Pamiętam z tych wędrówek po Rosji straszny głód i mróz. Nie byliśmy wprawdzie w żadnym obozie, czy łagrze, ale też było nam ciężko. Obdarci, w łachmanach, ubranie, które mieliśmy zniszczyło się, nowego nie było skąd wziąć. Ja nie miałam butów, to znaczy miałam wierzch, ale zdarła się podeszwa. A tu 40-to stopniowy mróz. Odmroziłam sobie wtedy stopy i do dziś mi dokuczają. Ale nawet w najgorszych momentach wiedzieliśmy, że mimo zimna i głodu, okrężną drogą – idziemy, idziemy do Polski. I to nas trzymało.

***JSG**: Dlatego z taką radością przyłączyliście się do polskiej armii – Drugiego Korpusu gen. Andersa. Przeszła z nią pani cały szlak bojowy, umilając życie polskim żołnierzom w tym trudnym czasie.*

JJ: Generał Anders był bardzo kochanym człowiekiem i bardzo dobrym. Jak magnes nas trzymał i opiekował się nami. Był też

uroczym, pięknym mężczyzną. Miał piękne oczy, twarz i głos. Wojsko go uwielbiało, jak mówił, to wszystkie oczy zwrócone były tylko na niego. Byłam blisko niego, lubił mój śpiew. Kiedyś siedziałam z nim i jego świtą na wyścigach konnych w Bagdadzie. Darłam się w niebogłosy, tak przeżywałam to co się działo na torach. Wtedy generał mi powiedział, żebym z tym poczekała do wieczora, na koncercie będę mogła się wykrzyczeć do mikrofonu. Generał potrafił żartować, flirtować, ale zawsze był generałem i wszyscy to wiedzieli.

JSG: *Jak wyglądał taki koncert dla żołnierzy?*

JJ: Często o tym myślę i pamiętam bardzo wyraźnie. Na pustyni dwa tysiące żołnierzy, siedzą na piasku. Przyszli prosto z frontu (dowiedziałam się od generała). Jest ciemna noc, nic nie widać, tylko gwiazdy na niebie, scena z desek, mikrofon, harmonia, jedna żarówka i w kompletniej ciszy słychać głos. To ja śpiewam dla nich.

JSG: *Swój pierwszy recital miała pani podczas wojny w Tel-Avivie.*

JJ: Tak, ja katoliczka, wychowana w klasztorze francuskim „Sacre Coeur” we Lwowie, na swoim pierwszym recitalu śpiewałam po hebrajsku. Miałam dobry słuch, to mi pomogło nauczyć się tego języka. W Tel-Avivie chodziłam na lekcje

śpiewu, miałam bardzo dobrą nauczycielkę. Ale na mój pierwszy recital, nie przyszło wiele osób, to była wojna.

JSG: *A potem były Włochy.*

JJ: Ref-Ren miał swój zespół, ja byłam w innym zespole, razem z Renatą Bogdańską, przyszłą żoną generała i jej pierwszym mężem Gwidonem Boruckim. Borucki miał bardzo ładny głos i wyszukane maniery. Był kochany i zawsze uśmiechnięty.

Od lewej: Wojciech Wojtecki, Jadwiga Czerwińska, Helena Kitajewicz, Janina Jasińska, Zygmunt Zimand, Jerzy Kropiwnicki, fot. z książki Anny Mieszkowskiej „Ja, kabareciarz. Marian Hemar”, wyd. Muza.

JSG: *Po zakończeniu wojny znalazła się pani w Londynie i związała się z teatrem Hemara. Jak zapamiętała pani tę legendę*

kabaretu?

JJ: Hemar był bardzo trudny, uszczypliwy, złośliwy i wymagający. Wszystko musiało być tak, jak on chciał i każdy musiał się temu podporządkować. Kiedyś Malicz powiedział, że „po scenie chodzą same Hemary". To o czymś świadczy. Ale on nas wiele nauczył. Zwracał uwagę na piękny język, piękną składnię i jak w dramatycznym teatrze, wszystko musiało mieć swoje miejsce. Pamiętam jak zwracał mi uwagę – nie takim pięknym głosikiem śpiewaj, Jasiuniu. Bał się, że publiczność zwróci uwagę na mój „piękny głosik" i umkną wtedy jego intelektualne teksty, bał się o każde słowo.

JSG: *Wtedy Hemar był drugi raz żonaty z Caroll Anną Eric, która chyba nie rozumiała tych wszystkich polskojęzycznych intelektualnych i politycznych zawiłości.*

JJ: Na pewno był nie wygadany, nie mógł z żoną porozmawiać o wszystkim. Często po spektaklach czekał na mnie w ciemności. Potem spacerowaliśmy, a on opowiadał i opowiadał o sobie. Kiedyś tak się zagadaliśmy, że minęła 10 wieczorem i zamknęli nas w parku. Myślałam, że pęknę ze śmiechu, gdy go zobaczyłam, jak przełazi przez kraty.

JSG: *Jaka publiczność przychodziła na wasze przedstawienia?*

JJ: W Londynie publiczność była bardzo przyjemna, ale wymagająca. Nie mogło być tzw. chałtury, o nie. Była to wybrana publiczność, bo nie wszyscy rozumieli polityczne aluzje, ciężki humor i trudny język.

JSG: *Jak wspomina pani Anglię?*

JJ: Kocham Anglię i bardzo lubię Anglików. Po 11 latach pobytu w Londynie jestem obywatelką brytyjską. Ale Anglia, to był dla nas bardzo trudny okres. Powtarzaliśmy sobie „dojdziemy, może nie wszyscy, ale dojdziemy".

JSG: *Do czego dojdziecie?*

JJ: Do Polski, oczywiście.

„Księżyc do wynajęcia", od lewej: Gwidon Borucki, Zofia Terne, Stanisław Zięciakiewicz, Nina Oleńska, Meczysław Malicz, Janina Jasińska, Stanisław Ruszała, fot. z książki Anny Mieszkowskiej „Ja, kabareciarz. Marian Hemar", wyd. Muza.

Marian Hemat, Tola Korian (w środku), Janina Jasińska (z prawej), fot. z książki Anny Mieszkowskiej „Ja, kabareciarz. Marian Hemar", wyd. Muza.

JSG: *W 1958 roku przyjechała pani wraz z mężem Stanisławem Lipińskim do Kanady. Pani mąż był filmowcem.*

JJ: Tak. Poznaliśmy się w Egipcie. On był wychowany w Paryżu i tam kończył szkołę filmową. Potem przyjechał do Polski. Podczas wojny tak jak ja znalazł się w Drugim Korpusie gen. Andersa. Filmował w najbardziej niebezpiecznych miejscach, przy samej linii frontu. Tylko on z kamerą i asystent. Kręcił też filmy we Włoszech, pod Monte Casino, blisko akcji. Współpracował ze znanym przed wojną reżyserem – Michałem Waszyńskim.

JSG: *Występowała pani w latach 60. i 70. w Toronto, śpiewała pani na koncertach dla polskich kombatantów, dla marynarzy. Wiele osób przyjechało z Londynu i panią znało. Była pani ukochaną artystką wszystkich tych, którzy przeszli szlak bojowy.*

JJ: Tak rozeszła się szybko plotka, że tu jestem.

Jasia Jasińska w swoim apartamencie w Toronto, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

JSG: *Gdy w latach 90. Maria Nowotarska wraz z zespołem Salonu Muzyki i Poezji wystawiała lwowskie spektakle, była Pani honorowym gościem. Nagrany na płycie głos Hemara zapowiadał pani występ w Londynie, a potem z taśmy można było usłyszeć pani głos .*

JJ: Tak pamiętam. Słuchałam, tego, co śpiewałam w Londynie ze

wzruszeniem. Mój syn i wnuk podali mi kwiaty. To było duże przeżycie.

JSG: *Czy była pani po wojnie we Lwowie?*

JJ: Nigdy nie przyjechałam do Lwowa. Pracowałam w Radio Wolna Europa i to było niebezpieczne.

JSG: *Czy Pani tęskni za Polską?*

JJ: Właściwie już nie tęsknię. Już jestem przerobiona. A może to takie uśpienie? Amnezja?

Jasia Jasińska zmarła w 2011 roku w Sunnybrook Hospital w Toronto.

Felietonistka

z pazurem

Krystyna Cywińska

Grzegorz Małkiewicz

Krystynę Cywińską poznałem osobiście pod koniec ubiegłego wieku, kiedy rozpocząłem współpracę z „Tygodniem Polskim”,

sobotnim wydaniem „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza”. Była filarem gazety. Na jej felietony czekali zarówno ci, którzy zwykle zgadzali się z jej punktem widzenia, jak i zapiekli adwersarze. Ogromna wiedza, doświadczenie, kultura literacka i osobista oraz żywy język sprawiają, że intelektualne i polityczne spory z Krystyną Cywińską należą do największej przyjemności i w niczym nie przypominają wszechobecnej w polskiej debacie publicznej agresji.

Krystyna Cywińska jest felietonistką rasową, z bardzo ostrym pazurem, z wrodzonym darem polaryzowania postaw, pozbawionym moralizatorstwa. W swoim charakterystycznym, wyostrzonym stylu komentuje wydarzenia polityczno-społeczne od ponad 50 lat. Nie zawsze są to wydarzenia z pierwszych stron gazet, bardzo często dotyczą życia Polaków na Wyspach Brytyjskich. Pretekstem może być najmniejszy, mało zauważalny przez innych fragment naszej, często banalnej rzeczywistości. Dzięki tej różnorodności tematycznej, bliskości środowiskowej (możemy się w felietonach Krystyny Cywińskiej przeglądać i rozpoznawać) powstał poważny dorobek prozatorski, świadectwo epoki, który nie traci nic ze swojej aktualności i literackiej finezji. To duże osiągnięcie, bo felieton jako gatunek prasowej wypowiedzi, ma zwykle krótkie życie, podobnie jak wydarzenia, do których nawiązuje.

Krystyna Cywińska, rysunek.

Krystyna Cywińska felietonowy styl rozpoznała bezbłędnie. Wie, że o czytelnika musi walczyć, że wypolerowany przekaz to śmierć felietonu, tak samo jak nachalne ideologiczne zaangażowanie. Wybitny słuch językowy pozwala autorce przełamywać bariery pokoleniowe, o czym przekonałem się, redagując „Nowy Czas”, w którym zaczęła publikować swoje teksty kilka miesięcy po założeniu pisma. Stała się mostem, jaki od początku naszej działalności wydawniczej próbowaliśmy budować między emigracją niepodległościową, przebywającą w Wielkiej Brytanii od czasów wojny, a nowym pokoleniem przybyszy z Polski. Zdobyła wielu nowych czytelników spośród młodej generacji, zatrzymując jednocześnie tych, którzy kiedyś czytali ją na łamach

„Tygodnia Polskiego”.

Mimo 90. rocznicy urodzin jej znakomita pamięć, językowa ekwilibrystyka, poczucie humoru i bystry zmysł obserwacji w zmieniających się szybko czasach powodują, że na jej felietony nadal czekamy z niecierpliwością. Krystyna Cywińska jest niewątpliwie legendą (niestety, ostatnią z żyjących) polskiego dziennikarstwa na Wyspach Brytyjskich. Prezydent Andrzej Duda odznaczył ją Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Order wręczył Jubilatce Adam Kwiatkowski, Sekretarz Stanu w Kancelarii Prezydenta RP odpowiedzialny za kontakty z Polonią i Polakami za granicą w sobotę 15 października 2016 r., przed premierą „Zemsty” w Teatrze POSK-u.

„Nowy Czas”, Londyn, nr 5/223, 2016

Wilno nad Tamizą

„Wilno nad Tamizą” to cykl, niezwykle interesujących wideo-wykładów prowadzonych przez historyka sztuki, prof. Jana Wiktora Sienkiewicza, nagranych przez Dziennik Internetowy

„Niebywałe Suwałki”, na temat twórczości artystów pochodzących z Suwalszczyzny i Wileńszczyzny, związanych ze środowiskiem tzw. Polskiego Londynu.

Część pierwsza:

Część druga:

Część trzecia:

Fotografia na pierwszej stronie: Marcin Tylenda – „Niebywałe Suwałki”.

Jan Wiktor Sienkiewicz, ur. 1960 r. w Przerośli, ukończył Katolicki Uniwersytet Lubelski na kierunku historia sztuki na Wydziale Nauk Humanistycznych KUL oraz prawo, na Wydziale Prawa Kanonicznego i Świeckiego. Tytuł zawodowy magistra historii sztuki otrzymał w 1987 r. na podstawie pracy magisterskiej, pt. *Zbiory im. Olgi i Tadeusza Litawińskich w Muzeum Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego* (opublikowana

w 1991 r.), napisanej pod kierunkiem ks. prof. dr hab. Władysława Smolenia, ówczesnego kierownika Zakładu Historii Sztuki Kościelnej Sekcji Historii Sztuki KUL i dyrektora Muzeum Uniwersyteckiego KUL im. Ks. Jana Władzińskiego.

W 1992 r., uzyskał stopień doktora z zakresu historii – historii sztuki, na podstawie rozprawy doktorskiej pt. *Marian Bohusz-Szyszko 1901-1995, życie i twórczość* (opublikowana w 1995 r.), obronionej pod kierunkiem prof. dr. hab. Tadeusza Chrzanowskiego na Wydziale Nauk Humanistycznych KUL.

Po doktoracie, będąc zatrudnionym na stanowisku adiunkta w Katedrze Historii Sztuki Nowoczesnej, prowadził również zajęcia dydaktyczne w Katedrze Historii Sztuki Średniowiecznej Polskiej (ćwiczenia oraz proseminarium). W październiku 1998 r., na Wydziale Nauk Humanistycznych KUL, na podstawie rozprawy habilitacyjnej pt. *Attilio Alfieri a malarstwo włoskie XX wieku* oraz dorobku naukowego, otrzymał stopień naukowy doktora hab. z zakresu historii sztuki, specjalizacja: historia sztuki najnowszej europejskiej i polskiej – polska sztuka na emigracji po 1945 roku.

Od października 2000 r., uchwałą Rady Wydziału Nauk Humanistycznych KUL, kierował Katedrą Kultury Artystycznej w Instytucie Historii Sztuki KUL. W kwietniu 2003 r., uchwałą Rady Wydziału Nauk Humanistycznych KUL został zatrudniony

na stanowisku prof. nadzw. w Instytucie Historii Sztuki KUL. Od 2000 r. do września 2006 r. był członkiem Rady Wydziału Nauk Humanistycznych KUL.

W czerwcu 2001 r., uchwałą Senatu Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie w Wielkiej Brytanii,został mianowany profesorem PUNO z siedzibą w Londynie.

W październiku 2006 r. rozpoczął pracę na stanowisku prof. nadzw. Uniwersytetu Stefana Kardynała Wyszyńskiego w Warszawie w Katedrze Antropologii Kulturowej Sekcji Teologii Kultury na Wydziale Teologicznym. Od 1 października 2007 do 30 września 2009 r. kierował Katedrą Dialogu Kultury Artystycznej i Teologii w Instytucie Wiedzy o Kulturze UKSW. 1 października 2009 r. podjął pracę w Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu w Katedrze Historii Sztuki i Kultury, w której strukturze od stycznia 2010 r. kieruje jedynym w Polsce Zakładem Historii Sztuki i Kultury Polskiej na Emigracji. 14 sierpnia 2014 roku, decyzją Prezydenta RP Bronisława Komorowskiego, otrzymał tytuł profesora nauk humanistycznych.

Prof. Jan Wiktor Sienkiewicz w pracy badawczej i publikacyjnej zajmuje się zagadnieniami związanymi z kulturą artystyczną w obrębie XX-wiecznej polskiej i europejskiej sztuki nowoczesnej; zwłaszcza polskiej sztuki i polskiego życia artystycznego na emigracji w latach 1939-1989, w tym szczególnie: twórczości

plastycznej artystów tak zwanego Polskiego Londynu 1945-1989 (Szkoła Malarstwa Sztalugowego i Grafiki Użytkowej Mariana Bohusza-Szyszki; Wydział Sztuk Pięknych PUNO; Zrzeszenie Polskich Artystów Plastyków w Wielkiej Brytanii APA) i innych polskich związków, szkół, stowarzyszeń i grup artystycznych w Wielkiej Brytanii po drugiej wojnie światowej; dziejów polskich i obcych galerii sztuki współczesnej na emigracji a szczególnie w Wielkiej Brytanii (zwłaszcza Drian Galleries, Grabowski Gallery, Centaur Gallery); twórczości polskich artystów na Bliskim i Środkowym Wschodzie, Egipcie i we Włoszech (1942-1947); sztuki włoskiej XX wieku – szczególnie środowiska artystycznego Mediolanu (w tym Triennale di Milano i Attilio Alfieri) oraz Rzymu (Accademia di Belle Arti); twórczości artystów polskiego pochodzenia na Litwie, szczególnie Roberta Bluja; badań związków sztuki i turystyki (szczególnie na Mazowszu).

źródło: www.janwiktorsienkiewicz.pl